

r k mleczko
siewca
ciszy



Siewca cisy

Prolog

(13 maja 1918)

-Gdzie on jest?!

-Daj już spokój. Przed chwilą zemdłał, po tym jak Broniewicz potraktował go kolbą od Mausera.

-Ocucić gnoja!!! Wyrwę parszywej gnidzie ten zakłamaną jęzor.

-Kazek, przestań wrzeszczeć bo jeszcze tamtych zwabisz.

-Zabiję!!! - Średniej budowy trzydziestolatek w upapranym błotem mundurze CK podoficera zdawał się w ogóle nie reagować na to, co mówił do niego drugi mężczyzna.

-Skąd ta pewność, że zrobił to celowo?

-Skąd ta pewność?! Przecież ten sukinsyn specjalnie poprowadził nas na te cholerne moczary. Przez niego trzech naszych utopiło się w bagnie.

Na chwilę obydwaj zamilkli. Po raz kolejny w przeciągu dwóch ostatnich dni w taki tylko sposób mogli uczcić śmierć towarzyszy broni.

-Przecież sam mówiłeś, że prawdopodobnie tą drogą nasi się wymknęli Niemcom...

-Tak. Ale nie tak blisko jeziora! Bardziej na wschód... Tam nie ma tych cholernych bagien. Pokazywałem gnojowi na mapie tę małą wioskę. Tamtędy można się wyrwać.

-Myślisz, że generał uciekał w tym kierunku?

-Ta droga wydaje się być najlepsza. Potem Keller z resztą korpusu na pewno odbił na zachód. Nie zaryzykuje zbyt bliskiego podejścia pod Kijów. Tam aż roi się pruskich oddziałów.

-Myślisz, że ich jeszcze dogonimy?

-Na pewno nie jeśli będziemy siedzieć tak bezczynnie. - Podoficer z zabłoconym mundurze chyżo ruszył w kierunku oddalonej od nich o kilkanaście metrów kępy wierzb, u podnóża której leżał tęgi mężczyzna w podartych chłopskich portkach i szarym, równie mocno sfatygowanym płóciennym kitlu. - Zaraz parszywy zdrajca pożałuje, że chciał nas wszystkich utopić w tym szambie. Wstawaj, chamię!!! - Coraz trudniej panujący nad sobą podoficer wymierzył mocnego kopniaka w udo nieprzytomnego przewodnika. - Rusz tą dupę!!!

-Spokojnie! - Drugi żołnierz zdecydowanym ruchem odciągnął swojego kompana od teraz już jęczącego z bólu chłopca. - Nie wrzeszcz tak! Co zrobimy, kiedy nas namierzą? Zostało nam tylko kilka naboju.

-Zobacz! Ten skurwiel cały czas był przytomny.

Podoficer wydobył z kabury pistolet. Jednym kolaniem z całej siły naparł na klatkę piersiową wieśniaka, tak że ten natychmiast zawył z bólu. Osmolona lufa zdobycznego Lugera przywarła do jego nozdrzy. Oszołomiony mężczyzna otworzył przerażone oczy.

-Widzisz! Gnojek wszystko słyszał. Mów!!! Za ile chciałeś nas sprzedać?!

-Nie... Ależ panie kapitanie...

-Nie jestem kapitanem!

-Wielmożny panie... to nie tak... ja nic złego...

Podoficer dwukrotnie uderzył chłopą w twarz.

-Nie kłam!!! Czemu zaprowadziłeś nas na te cholerne bagna?! Przecież niedaleko Woroniwki jest inna wieś. Tamtędy na pewno można przedostać się na zachód.

-Panikarcha. Nie! Tam nie można... tam czerwoni... oni jeszcze gorsi od...

-Nie! Nie chodzi mi o Panikarchę. Tyle to i my wiemy. Miałeś nam pokazać drogę do tej małej wioski, na północ od Woroniwki. Pokazywałem ci na mapie...

-Tam nie można!!! - Nagle głos wieśniaka zmienił się. Nie był to już jęk torturowanego. Te trzy ostatnie słowa wypowiedział z trwogą, typową raczej dla małego dziecka, które panicznie boi się duchów z miejscowych podań. - Za żadne skarby świata... Nikt mnie nie zmusi, żebym tam poszedł...

-Jakie skarby?! Ty durniu!!! Będziesz miał szczęście, jak ci nie odstrzelę tego zakutego łba.

-Wszędzie... mogę was zaprowadzić wszędzie, do Kchalhy, gdzie stoją Prusacy albo nad sam Dniepr, gdzie roi się od bolszewików... Tylko nie tam!

-Pokarzesz nam tą cholerną drogę, albo zaraz cię tu rozwałę...

Podoficer zamachnął się na trzęsącego się ze strachu chłopą, kiedy nagle ktoś złapał go za pięść. Rozsierdzony obrócił się. To był jego kompan.

-Kazek, daj se spokój! Z chwilę naprawdę mu coś zrobisz.

-Puść!

-Nie przesadzaj!

-Puść!!! Ten gnojek zapłaci za to, że trzech naszych... - Żołnierz w zabłoconym mundurze przerwał, kiedy tylko dostrzegł kątem oka jak, jeszcze chwilę wcześniej kulący się ze strachu wieśniak, teraz szybkimi susami oddalał się w kierunku gęstych zarośli.

-Nie strzelaj! - Drugi podoficer wyrwał mu z ręki pistolet. - Tylko zdradzisz naszą pozycję

-Jak nie ja, to ten skurwiel to zrobi!

Chwilę później obydwaj zupełnie stracili z widzenia ich przewodnika.

Od ponad czterdziestu minut przedzierali się przez gęsty las. Według mapy, a raczej szczątków mapy, które dzień wcześniej udało im się zabrać z kieszeni kolegi zmasakrowanego kulami z ciężkiego karabinu maszynowego, szli mniej więcej na północny wschód. Gdzieś w tym rejonie mieli nadzieję znaleźć wioskę. Droga, która biegła przez tę małą osadę w kierunku Stritiwki, wydawała się jedynym bezpiecznym szlakiem wśród tych wszystkich bagien.

Chociaż było już grubo po dziewiątej, gęsta poranna mgła spowijająca rozległe mokradła wcale nie chciała odpuścić. Szli bardzo wolno. Nie tylko dlatego, żeby bardzo starannie sprawdzać czy grunt, po którym stąpają nie robi się coraz bardziej grząski, ale również po to, by nie hałasować. W pewnym momencie zdali sobie sprawę, że w tym lesie panuje głucha cisza. Nie do uwierzenia, że w środku maja, w tak bujnym zagajniku, nie mogli usłyszeć żadnego ćwierkania ptaków, brzęczenia owadów, czy też choćby krótkiego stukotu dzięcioła. Jak makiem zasiał. Każdy zaschnięty patyk pękający pod ich butami, czy też szelest przesuwanej gałęzi sprawiał wrażenie, że robią zgiełk na całą okolicę.

Nagle wszystkie drzewa i krzaki zostawili za sobą. Byli teraz na łące porośniętej gęstą trawą. Początkowo wydawało im się, że to następna przesieka, gdzie czyhają na nich liczne bagna. Wkrótce jednak odetchnęli z ulgą. W mlecznych tumanach mgły dostrzegli chałupę, kilka kroków dalej trzy kolejne. Nie widzieli jednak nikogo z mieszkańców. Nie usłyszeli choćby jednego psa ujadającego na obcych.

-Tam ktoś jest - wyszeptał kapral Broniewicz, trzeci z ocalałych żołnierzy.

-Gdzie? - Podoficer w zabłoconym mundurze zaczął nerwowo rozglądać się w każdą stronę.

-Tam, przy studni... ktoś siedzi tuż przy studni.

Nie zatrzymywali się, choć każdy kolejny krok był wolniejszy i coraz bardziej ostrożny. Mniej więcej pięć metrów od znieruchomiałej postaci zorientowali się, że to kobieta. Martwe oczy wydawały się wpatrywać w ciemnoczerwona plamę, która rozlała się po całym jej brzuchu i udach.

Dopiero teraz dostrzegli zastygłe w grymasie bólu niemowlę leżące na matczynych kolanach. Drugi z podoficerów ostrożnie podszedł do zwłok. Przez chwilę przyglądał się trupom, jakby szukał przyczyny ich śmierci. Wtem swój wzrok skierował na studnię. Z tego miejsca, gdzie stał, wydawało mu się, że coś z niej wystaje. Pochylił się nad dużą drewnianą cembrowiną. Niemal natychmiast odskoczył, jakby dotknął rozżarzone węgle.

-Niech to szlag! Ciała... tam są ciała... mnóstwo trupów.

Dwaj pozostali żołnierze od razu podeszli do studni. Okropny widok i jeszcze potworniejszy odór odrzucił obydwu z miejsca podobnie jak przed chwilą ich kompana.

-Co to za przekłete miejsce?! - Podoficer w zabłoconym mundurze klął wciąż krztusząc się swoimi wymiocinami. - Cała studnia... cała... aż po brzegi pełna ciał... Co za potwory mogły to zrobić?!

-Ciii...

-Zwyrodnialcy!

-Ciiiiiii. - kapral Broniewicz próbował go uspokoić. - Jeśli to czerwoni, to mogą tu jeszcze niedaleko być. Lepiej, żeby nie dowiedzieli się, że ktoś to odkrył...

-Patrzcie!!! - krzyknął drugi podoficer.

-Ciii...

-O tam! - Jego drżąca ręka wskazywała na osnutą mgłą stodołę znajdującą się około piętnaście metrów na lewo od nich. - Widzieliście?!

-Co?

-Tam ktoś był! Jestem pewien. Jeszcze chwilę temu...

-Prze stań się wydzierać! - fuknął jego kompan.

-O, tam... Stał przy drzwiach. Klnę się na Najświętszą...

-Miał mundur? - zapytał Broniewicz - Pruski czy bolszewicki?

-Jaki pruski? Tylko te czerwone świny byłyby w stanie coś tak okropnego uczynić...

-Nie! Żaden mundur - przerwał im drugi podoficer. - Był za mały na żołnierza. To jakiś chłopak, może dziewczyna... Za krótko widziałem. Przestraszył się nas. Pewnie myśli, że jesteśmy z tymi skurwysynami...

-Schował się w środku. - Broniewicz ostrożnie ruszył w kierunku stodoły.

-Gdzie leziesz?! - Prawie jednocześnie zaprotestowali jego kompani.

-Trzeba się dowiedzieć kto to zrobił i dokąd poszli. Nie chcę tym bydlakom wejść w drogę.

-Lepiej tam nie podchodź...

-Przecież to tylko miejscowy dzieciak. - Na krótką chwilę drwiący uśmiech wykrzywił usta kaprała. - Założę się, że sra teraz w gacie widząc jak idę w jego stronę...

Obydwaj podoficerowie popatrzyli po sobie, po czym ruszyli za Broniewiczem.

Okropny odór, wielokroć obrzydliwszy, niż ten przy studni, uderzył w nich już kilka kroków przed wejściem. Wszyscy zatrzymali się na progu. Pomimo wciąż sporej mgły, promienie majowego słońca były na tyle silne, aby rozświetlić przednią część stodoły. Tuż za drzwiami natknęli się na zwłoki starego mężczyzny. Obok niego leżały dwie martwe, nastoletnie dziewczyny. Dalej, w gęstniejącym półmroku, od trupów aż się roilo. W miejscu, gdzie ciemność zaczynała panować już niepodzielnie, nieboszczycy tworzyli makabrycznie wyglądający stos. Chociaż wcześniej trzech żołnierze bardzo krótko widzieli zabitych w studni, od razu zorientowali się, że zwłoki złożone tutaj różnią się od tamtych. Tam, na podwórku, w drewnianej cembrowinie tylko napuchnięte, trupio blade twarze oraz smród rozkładających się ciał wskazywały na to, że wszyscy są martwi. W tej stodole wieśniacy byli okropnie zmasakrowani: niektórzy z rozszarpanymi gardłami, inni z poćwiartowanymi członkami, jeszcze inni z podżganymi jak sito korpusami.

Nagle, z części budynku zupełnie zatopionej w mroku, dał się słyszeć słaby płacz. Teraz byli już prawie pewni, że to była dziewczyna. Broniewicz właśnie chciał ruszać w miejsce, z którego dochodził ten trwożny szloch, gdy wtem, gdzieś z boku, z równie zaciemnionej części stodoły, doszedł ich niesamowicie gwałtowny łomot. Jakby kilka rozwścieczonych bestii, zwiedzionych zapachem świeżej, ludzkiej krwi, za wszelką cenę próbowało wydostać się ze swojej

niewoli.

-Stój!!! - Krzyknął jeden z podoficerów.

-Tam jest dziecko! Możemy jej pomóc. - Zaoponował Broniewicz.

-Ani kroku dalej!!! To może być pułapka...

-Ona może tu zginąć, jak ci wszyscy nieszczęśnicy..

-Trudno. - Zawyrokował mężczyzna w zabłoconym mundurze. - Nie będziemy jej szukać.

Po prostu jak najszybciej wynosimy się stąd.

Dwie minuty później mijali ostatnią chałupę w tej martwej wiosce. Przez cały czas milczeli. Przerazający letarg, który panował w całej osadzie, wzmógł jeszcze bardziej ich czujność. Każdego z nich paraliżował strach. Wiedzieli, że prędzej, czy później będą musieli porozmawiać o tym, co tu zobaczyli, lecz teraz pragnęli tylko jak najszybciej opuścić to miejsce. Byli pewni, że nie są tu sami. Czuli na sobie spojrzenie. Ktoś lub coś czaiło się we mgle. Czy to była ta jedyna ocalała? Może było ich więcej? Może to ci, którzy dopuścili się tego bestialskiego mordu? Jedna z bolszewickich band? Żaden z nich skrycie w to nie wierzył, chociaż ta ewentualność w tej chwili, gdy jeszcze nie zdążyli się stąd na dobre wynieść, nie była dla nich wcale najgorsza. Wycofując się z wioski nie zauważyli niczego, co wskazywałyby na to, żeby jej mieszkańcy stawili jakikolwiek opór. Wiedzieli, że nawet tak gęsta mgła nie mogłaby ukryć przed nimi wszystkich śladów przemocy, jakiej dopuściłyby się tu rozbastwione hordy czerwonych. Jeśli to jednak nie bolszewicy, to coś mogło tu nadal być, właśnie w tej chwili czaić się w mlecznych obłokach spowijających każdą chałupę, drzewo czy też płot.

Po chwili na twarzy podoficera w zabłoconym mundurze pojawił się lekki wyraz ulgi. On pierwszy usłyszał kojący śpiew słowika dochodzący gdzieś z gęstych zarośli, kilkadziesiąt metrów przed nimi, pośrodku pszenicznych pól, gdzie wschodził siew. Wszyscy trzej szli coraz rażniejszym krokiem. Jak najszybciej chcieli oddalić się od martwej osady. Już nie mogli doczekać się tego, co ich szalony i okrutny świat miał im z powrotem do zaoferowania. Pragnęli znowu słyszeć tętniący życiem las, szmer wiatru na polach i łąkach, zgiełk zatłoczonych ulic. Nawet świst kul, jęki rannych, czy też ogłuszające wybuchy pocisków artyleryjskich, nie były im teraz tak straszne.

Wszystko, tylko nie ta przerażająco głucha cisza.

Rozdział 1

1

(piątek, 17 kwietnia 1998)

...Ryk syren karetok pogotowia mieszał się z wyciem rannych pasażerów. Coraz liczniejsi gapowicze roili się po obydwu prowizorycznie zagrodzonych stronach szosy. Z trwogą i niedowierzaniem przyglądali się ratownikom medycznym, którzy narażając samych siebie, próbowali wydrzeć śmierci jak najwięcej istnień ludzkich z ogarniętych pożogą pojazdów. Syk topniejących w jaskrawopomarańczowym ogniu opon zdawał się coraz bardziej zagłuszać wrzaski wijących się w agonialnym bólu ludzi uwięzionych w ognistej kuli, która jeszcze kilka minut temu była autokarem. Z obydwu kierunków, już na dobre zakorkowanej drogi, z trudem przedzierały się kolejne pojazdy ratunkowe. Czerwono-niebieskie refleksy rytmicznie wystrzeliwane z ambulansów, wozów strażackich czy też radiowozów zaciekle cięły ciemnobursztynową poświatę ponuro unoszącą się nad miejscem katastrofy. Z upływem minut, w pośpiechu wywożeni do najbliższych szpitali ranni odsłaniali coraz więcej kałuż krwi na spękanej, asfaltowej jezdni.

Kwadrans później kręty odcinek krajowej dwudziestki ósemki, niecałe trzy kilometry za Bieczem w kierunku Nowego Sącza, wydawał się całkowicie pustoszeć, z jednym małym wyjątkiem. Kilkunastu strażaków, ratowników i policjantów nadal tłoczyło się między prawym bokiem już doszczętnie zniszczonego przez ogień autokaru, a średniej wielkości przydrożnymi drzewami - pierwszymi światkami tego najbardziej fatalnego w historii całego regionu wypadku. Kobieta, której próbowali pomóc, tego dnia miała wyjątkowego pecha. Wprawdzie wielu ludzi podróżujących w tym autobusie co ona już zginęło (niektórzy z nich w okropnych mękach, żywcem spaleni), jednakże ich agonia, nawet najbardziej bolesna, już się skończyła. Jej męki mogły jeszcze długo potrwać. Wyrzucona na zewnątrz niewiarygodnie silnym uderzeniem pojazdu, została nadziana na grubą gałąź stojącej nieopodal starej topoli. Bogato ugałęziona żerdź przeszła tuż obok serca, otarła się o jeden z kręgów piersiowych, po czym przebiła się na drugą stronę jej ciała. Gorące płomienie, teraz trawiące już doszczętnie autokar, zdążyły przypiec lewą część jej ciała zanim gałąź nie złamała się i nie runęła z całym impetem na twardą, zmrożoną jeszcze wiosennymi przymrozkami ziemię. Przeżyła i to.

Kobieta krzyczała bez przerwy. Nie ważne czy próbowano ją podnieść, czy też leżała niedręczona jakimkolwiek ruchem. Krew w jamie ustnej i krtani, zdarte od nieustannego wrzasku struny głosowe ale przede wszystkim rozdygotane, poparzone ciało sprawiały, że to co chciała powiedzieć, było tylko bełkotem w uszach ludzi starających się jej pomóc.

-Co wy, kurwa mać, tu wyprawiacie?! - Warknął postawny mężczyzna po pięćdziesiątce w mundurze, który wyglądał na oficera. Przerażliwe jęki uszkodzonej w wypadku kobiety

musiały zwabić go tutaj aż z miejsca oddalonego o dobre kilkadziesiąt metrów.

-Komisarzu, ona oszalała. - Jeden z policjantów, zaciekle siłujący się ze zbroczoną na całym ciele krwią ranną, z trudem wysapał te kilka słów do swojego przełożonego.

-Puśćcie ją!

-Widzi pan tą gałąź? Jeśli pozwolimy jej się szarpać, będzie po niej.

-Puśćcie ją! Dla niej chyba tak będzie najlepiej.

-Może i tak. Boże, czemu ona to robi?! - Dodał równie zasapany ratownik. - Ciska się z taką siłą, jak te durne smarkacze po kwasie.

-Mówię wam! - Jeszcze bardziej stanowczym tonem odezwał się oficer. - Nie przyciskajcie jej tak mocno. Jeszcze nam tu zejdzcie i będziemy mieli wszyscy przesrane. Widziałem tu już kilku pismaków z lokalnej prasy. Znowu będzie, że policja działa nieudolnie, ble, ble... i inne tam takie pierdoły.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Raz. Dwa. Na trzy już nikt jej nie przytrzymał. Zdziwili się, gdyż po tym kobieta nie zrobiła ani jednego gwałtownego ruchu. Teraz nie krzyczała. Mówiła, a raczej bełkotała, nieustannie łypiąc swoimi przestraszonymi oczyma na te wszystkie obce twarze.

-No, teraz jest spokojniejsza. - Prawie jowialnie zawyrokował kolejny z policjantów. Jeden z ratowników w średnim wieku od razu rzucił mu karcące spojrzenie.

-Nie takim tonem! Ta biedaczka jeszcze żyje. Może i nawet nas słyszy. - Jak najdelikatniej mógł, poprawił koc termiczny na oparzonej części jej ciała. - Wydawało mi się, że próbuje zapytać o kogoś. Jakby mówiła: „...on ...może być...”. Coś w tym stylu.

-Całkiem możliwe. - Zawyrokował komisarz. - Wielu podróżowało w tym autosanie z rodzinami.

Nagle do wszystkich uszu dobiegł piskliwy głos lekarki, która wyłoniła się zza spalonego wraku autokaru.

-Chodźcie wszyscy. W innym rozbitym aucie znaleźliśmy kolejną ofiarę. Możliwe, że jeszcze żyje.

Nie musiała powtarzać. Od razu ruszyli w kierunku wskazanym przez panią doktor. Wszyscy, z wyjątkiem jednego ratownika. Ten nadal kuczał nad umierającą kobietą. Wciąż starał się zrozumieć coś więcej niż tylko te trzy słowa.

-Rogulski, do ciebie też mówiłam! - Ton nieznośny sprzeciwu nie pozostawiał żadnych wątpliwości kto tu był szefem. - Szybko! Każda para rąk się liczy.

-Przecież nie zostawimy jej tutaj bez żadnej opieki.

-Dobra. Niech Lisowski z nią zostanie, a ty idziesz! Potrzebuję doświadczonych ludzi. Tamten tylko przeszkadza.

Młody Lisowski, dwudziestolatek bez przerwy żujący gumę, wcale nie przejął się uwagą szefowej. Dopiero od tygodnia pracował na pogotowiu jako sanitariusz, jednak już teraz miał tylko jeden, ale za to ściśle sprecyzowany cel. Jak długo nie groził mu pobór do wojska, zamierzał przeczekać na tej posadzie bez żadnego zbędnego wychylania się. Właściwie więc pasowało mu to, że jego zadaniem jest jedynie asystowanie jakiejś śmiertelnie rannej kobiecie w jej ostatnich chwilach życia. Jak dobrze pójdzie nie będzie już dzisiaj musiał latać z wywieszonym językiem, wykonując polecenia tych wszystkich nadgorliwych łapiduchów.

-...on ...może być... - Jak mantrę powtarzała ranna. Wyciągnęła rękę, jakby chciała sprawdzić, czy ktoś przy niej jeszcze jest. Lisowski odniósł wrażenie, że kobieta już nie widzi. Nie chciał podać jej swojej dłoni, jednak, kiedy zaczynała panikować, ustąpił. „Jeszcze mi tylko tego trzeba, że znów zacznie wrzeszczeć”. Asfalt, choć suchy w tym miejscu, był bardzo wychłodzony w ten zimny, kwietniowy wieczór. Rozejrzał się dookoła. Na szczęście, ratownicy zostawili tu nierozpakowany koc termiczny. Położył go w miejscu, gdzie zamierzał usiąść. Zanim dopadnie ją śmierć, jeszcze trochę czasu mogło upłynąć.

-...on ...może być... tam... - coraz trudniej przychodziło jej mówić. Przez moment rozważał nawet zagadać do niej. Lecz od razu pomyślał sobie, że tylko zachęci ją do jeszcze bardziej szalonych spazmów. Wtem kobieta zamilkła. Przez krótką chwilę miał nadzieję, że to już koniec. Ona jednak czekała. Zbierała siły. Może do ostatniej już próby przekazania tego, co musiało być

przekazane, zanim odejdzie.

-Mój syn... nie może tam być. - W końcu, z wielkim trudem, wyjęczała.

-Tak, oczywiście. - Nie siląc się na jakiegokolwiek współczucie, młody sanitariusz postanowił zbyć ją najbardziej banalnymi słowami, jakie mu przyszły w tym momencie do głowy. - Nasi ludzie wszystko załatwią.

-Nie może być z innymi. To znowu się zacznie... - Kolejne słowa zniekształcił obfity strumień krwi, który wytryskiwał z jej ust za każdym razem, gdy chciała dokończyć.

-Proszę się nie martwić. - Widząc, że to już jej ostatnie chwile, postarał się o to, żeby barwa jego głosu była choć trochę cieplejsza. - Pani syn na pewno nie jest sam. Nasi ludzie już o to zadbają. W tym momencie z pewnością dojeżdżają już do szpitala ostatni ranni.

Mocno zacisnęła swoją dłoń na jego nadgarstku. Chciała zaprotestować. Choćby jednym słowem ostrzec. Jednakże, przez jej osłabione struny głosowe żaden dźwięk nie był już zrozumiały. Spoglądając na jej twarz, miał wrażenie, że już odpłynęła. Słyszał coraz rzadsze spazmatyczne oddechy zwiastujące rychłą śmierć. Strumień krwi, wypływający z jej ust słabł z każdym pulsem.

Umysł konającej już nie rejestrował rzeczywistości. Świadomość nikła w coraz gorzej dotlenionych płatach kory mózgowej. Trudno powiedzieć, czy to było jeszcze myślenie, czy już może tylko ostatni sen. Ktoś bardziej wrażliwy niż młody Lisowski, może by i serdecznie ucisnął jej bezwładną dłoń, może otarł krzepnącą krew z jej policzka, może i pomyślał z nadzieją, że w ostatnich chwilach złe przecucia nie dręczyły jej matczyne go serca.

2

Sanitariusz nie miał racji. Kiedy kobieta umierała, karetka z jej synem wcale nie dojeżdżała do pobliskiego szpitala. Chłopak był zaledwie kilkanaście metrów dalej. Leżał nieprzytomny w obskurnym mini-busie w przejściu między siedzeniami. Tej nocy wiele różnych pojazdów mknęło po drogach Powiatu Gorlickiego jako prowizoryczne karetki pogotowia. Na siedzeniach starego dodge'a rozlokowano przynajmniej dziesięć ofiar wypadku. Ich los nie wydawał się być taki najgorszy. W końcu siedzieli, więc nie było z nimi tak źle. Tylko Kamil Bednarz - siedemnastoletni chłopak nie pasował do tego taboru lekko rannych. U cały czas nieprzytomnego wstępnie zdiagnozowano wstrząs mózgu z możliwym urazem kręgosłupa i obrażeniami narządów wewnętrznych. Jego pech polegał na tym, że kiedy go wydobyto z rozbitego autobusu, na miejscu wypadku nie było ani jednego ambulansu. Ratownicy uznali, że lepiej będzie wysłać go jakimkolwiek pojazdem do szpitala tak szybko jak tylko to jest możliwe, zamiast czekać długie minuty na powrót karetek pogotowia.

W mini-busie tylko dwie osoby nie były ofiarami wypadku: kierowca i zarazem właściciel tego całkiem leciwego dodge'a (bez przerwy zrzędcący pod nosem na widok licznych, świeżych, krwawych plam na tapicerce) oraz młoda stażystka medycyny, która jeszcze do tej pory nie mogła odreagować tego, że jedynie po dwóch tygodniach pracy w szpitalu, zlecono jej tak poważne zadanie. Kiedy kazali jej samej jechać jednym z podstawionych pośpiesznie pod szpital pojazdów, wiedziała, że po raz pierwszy w jej bardzo krótkiej karierze medycznej będzie zdana jedynie na samą siebie. Gdy dotarli na miejsce, ogrom zniszczeń i liczba ofiar tego nieszczęścia były dla niej przytłaczające. Paraliżowała ją sama myśl, że za chwilę wniosą do jej mini-busa kilku ciężko rannych pacjentów, za których będzie całkowicie odpowiedzialna aż do chwili, kiedy dotrą do szpitala. Cały czas modliła się w myślach aby koordynujący akcją ratunkową nie przydzielili jej poszkodowanych z grupy czerwonej - tych wymagających natychmiastowej pomocy. Po kilku minutach, które wydawały się być godzinami, przekonała się, że jej prośby do wszechmogącego musiały być wysłuchane, gdyż kazano jej tylko asystować przy transporcie lekko rannych. Uczucie ulgi prysnęło ni stąd ni zowąd, kiedy w zamykające się automatycznie drzwi dodge'a załomotał jeden z ratowników.

-Musicie zabrać jeszcze jego - krzyknął sanitariusz, który natychmiast po otwarciu mini-busa zaczął ze swoim współpracownikiem wnosić do pojazdu nosze.

-Ten jest nieprzytomny - zaprotestowała. - Miałam przewozić tylko lekko rannych. On musi

być w ambulansie. Z pewnością stan jego kategorycznie nie kwalifikuje się na...

-Gównno mnie to obchodzi do czego on się kwalifikuje, paniusiu! - Siła argumentów ratownika zdawała się być na tyle przekonywująca, że młoda pani doktor natychmiast uznała za bezsensowne kontynuowanie swojego wyводу. - Ten chłopak nie doczeka następnej karetki. Albo go bierzesz, albo równie dobrze możemy go już teraz wrzucić do rowu. Tylko, że wtedy to ty będziesz odpowiadać za jego śmierć.

Tak więc jechali teraz w kierunku szpitala powiatowego tak szybko, jak tylko stary mini-bus mógł. Chociaż kierowca cały czas wykrzeszał ze starego dodge'a sto dziesięć procent mocy, nawet przez chwilę nie musiał się martwić tym, iż jego pojazd nie został wyposażony w syrenę alarmową. Dni świetności dodge spacevana z 1979 roku dawno już minęły. Jednakże, młodej stażystce - Karolinie Zając - w żaden sposób nie przeszkadzało to, że ten porzewiały gruchot włókł się tak niemiłosiernie wolno. Na szczęście, jej pacjenci (wszyscy, z wyjątkiem nieprzytomnego nastolatka na podłodze, zakwalifikowani do grupy żółtej) doznali tylko złamań kończyn, niegroźnych oparzeń czy też zmiężdżeń palców - nic takiego co mogło spowodować ich nagłe zejście z tego świata w czasie transportu do szpitala. W zaistniałych okolicznościach postanowiła zająć się przede wszystkim leżącym w przejściu mini-busa młodzieńcem. Oczywiście stwierdzenie 'zając się' było trochę na wyrost. Tak naprawdę, mogła tylko monitorować jego funkcje życiowe i modlić się, że do końca jazdy stan zdrowia jej pacjenta gwałtownie się nie pogorszy.

3

Waldemar Kosecki siedział na dwóch miejscach opierając się plecami o lekko zaparowane okno mini-busa. Prawym kolanem mocno napierał na oparcie siedzenia w sąsiednim rzędzie. W tych warunkach był to jedyny sposób unieruchomienia wyprostowanej lewej nogi. Otwarte złamanie golenia musiało okropnie boleć, szczególnie wtedy, gdy stary dodge spacevan przejeżdżał po wyboistej drodze. Biorąc pod uwagę to, iż podróżowali po powiatowych odcinkach pod koniec lat dziewięćdziesiątych, uszkodzona kończyna musiała mu dokuczać przez cały czas. Jednak nie narzekał. Nieliczne latarnie uliczne, rozjaśniające tylko na chwilę wnętrze pojazdu, wyłaniały z mroku na dwie, góra trzy sekundy, jego szalone spojrzenie. Nie patrzył on ani na paskudne złamanie, ani na kobietę w fartuchu, która już jakiś czas temu przyklekła nad jakimś z pewnością nieprzytomnym pacjentem położonym na podłodze tuż obok jego siedzenia. Swój wzrok nieustannie wbijał w faceta wkulonego w czerwoną, sztruksową kurtkę, prawie przyklejonego do drewnianego panelu rozdzielającego dwa okna mini-busa. Siedział naprzeciw niego, więc od razu zauważył jego okropnie zmiężdżoną prawą dłoń. Gdy bus wpadł w kolejną, tym razem jedną z głębszych dziur na tej drodze, w środku pojazdu rozbrzmiał chóralny jęk. Taki wstrząs na pewno przyprowadził ich o nagły ból. Jednak Kosecki teraz milczał. Jakby zupełnie zapomniał o wystającym kawałku kości z jego lewej nogi. Gniew, jaki narastał w nim na widok człowieka trzęsącego się ze strachu po drugiej stronie dodge'a, zagłuszał jakiegokolwiek inne jego doznania. Ich pojazd kolejny raz przez krótką chwilę przejeżdżał pod jasną latarnią. Przez mniej niż sekundę patrzyli na siebie. Tyle czasu starczyło mężczyźnie ze zmiężdżoną dłonią, żeby poczuć ciarki na całym ciele.

4

Ponad dwie godziny wcześniej Waldemar Kosecki wsiadał ze swoim o rok starszym bratem do autokaru relacji Krosno - Nowy Sącz. Już dawno nie widzieli takiego tłumu przed autobusem. Mogli się tego spodziewać tydzień wcześniej, kiedy to tabuny studentów zjeżdżały do domów na Święta, ale nie dzisiaj.

-Gdzie te wszystkie ludziska pchają się w piątek wieczorem? - Kiedy kilku pasażerów stojących w kolejce po bilety z pogardą zmierzyło go wzrokiem, Kosecki zamilkł.

-Twoja wina - odburknął jego brat.

-Jak to moja?

-A nie mówiłem, żeby pożyczyć auto od ojca?

-Nie. Tylko nie to. Znowu by coś znalazł w tym gracie i marudził cały kolejny miesiąc, że myśmy to zepsuli.

Kolejka przesunęła się o kolejne dwa kroki. Teraz stali już na schodku prowadzącym do prawie już pełnego autosanu. Oczy starszemu bratu zaświeciły się na widok dwóch pustych siedzeń mniej więcej na środku autokaru.

-Daj mi kasę! Ja kupię bilety. Szybko. Pchaj się tam! Tam są jeszcze dwa miejsca.

Kilkanaście sekund agresywnego slalomu pomiędzy pasażerami zakończyły się sukcesem. Waldemar Kosecki zajął miejsca '21' i '22', albo przynajmniej przez chwilę tak mu się zdawało.

-Hej, ty. Nie widzisz, że tu są już czyjeś rzeczy? - Znikąd wyrosła przed nim średniej postury postać mężczyzny ubranego w czerwoną, sztruksową, wiosenną kurtkę.

-Widzisz tą torbę? - Tuż przy oknie leżała szara, najprawdopodobniej uszyta z brezentu, sporej wielkości torba podróżna. - To chyba znaczy, że byłem tu pierwszy, no nie?

Kosecki już chciał odstąpić jedno miejsce, kiedy dostrzegł w przedostatnim rzędzie jeszcze jeden niezajęty fotel. Od razu szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

-Niech pan patrzy tam, prawie na końcu. Wolne miejsce tuż obok ślicznej dziewczyny. Niech się pan śpieszy. Wielu dałoby dużo, żeby przysiąść się do takiej laski.

-Sam sobie tam siadaj – widać było, że wdzięki rudowłosej dwudziestolatki w obcisłym golfie dość wyraźnie podkreślającym jej obfity biust nie wywarły na nim żadnego wrażenia. – Ja tam wolę się nie przesiadać.

-Pan przesądny, czy co? - starszy Kosecki stał już z biletami w prawej ręce obok swojego brata. Miał nadzieję, że wspólnie przekonają faceta w jaskrawej kurtce do zmiany miejsca.

-Że co?

-No, niektórzy myślą, że jak się przesiadą z miejsca na inne miejsce...

-W dupie mam jakieś zabobony!

-No to co szkodzi zrobić innym przysługę? Pan jest sam, więc nie musi...

-Dobrze wiem jak to będzie. Zanim dopcham się tam z moimi tobołkami, już na pewno ktoś tam będzie siedział. - Nie czekając już na kolejne argumenty, jegomość w czerwonej, sztruksowej kurtce zajął miejsce od wewnątrz, demonstracyjnie włożył słuchawki na uszy, włączył walkman'a i oparł głowę o niezbyt wygodny fotel.

5

Kolejny wstrząs dodge spacevana wywołany uderzeniem lewego koła tylnej osi o ponad pół metrową wyrwę w asfalcie przypomniał Waldemarowi Koseckiemu o złamanej nodze. Trudno powiedzieć co było gorsze – fizyczny ból, cierpienie wywołane tragiczną śmiercią brata czy też świadomość, że siedzi się vis-a-vis osoby, która swoją decyzją przyczyniła się do tej tragedii.

Nie zawsze sprawdza się to, że najbezpieczniej jest siedzieć z tyłu pojazdu w czasie karambolu. Starszy brat Koseckiego postanowił zająć miejsce w przedostatnim rzędzie już bez kolejnych sprzeciwów.

-Ty siedź tutaj – stanowczym tonem rozkazał. - Ja usiądę obok tej kocicy. Jeszcze cię zbałamuci ta ruda cizia i znowu dostanie mi się za ciebie od starych.

Musiał się śpieszyć, gdyż kilka osób z przodu już ostrzyło sobie zęby na wolne miejsce, no i oczywiście, na bliskie towarzystwo seksownej dziewczyny siedzącej na fotelu od strony okna. Na koniec, tuż przed rozstaniem, szybkim ruchem dłoni brat zmierzył młodszemu Koseckiemu czuprynę.

-No to młody, ja idę do tyłu. Ty tu nie dokazuj. Widzimy się w Nowym Sączu.

Tadeusz Kosecki nie miał zbyt dużo czasu, żeby choćby tylko przedstawić się rudowłosej. Tuż przed mostem nad rzeką Ropą autobus zderzył się tak niefortunnie z nadjeżdżającą z naprzeciwka półciężarówką, że znaczna część impetu uderzenia wprawiła tył autosanu w ruch obrotowy. Pasażerom, którzy siedzieli w drugim i trzecim rzędzie od końca, po prawej, los przydzielił pierwsze miejsca na tej śmiertelnej karuzeli. Ta część pojazdu dosłownie wbiła się w olbrzymi pień drzewa, całkowicie miażdżąc wszystkich i wszystko co tam było.

Kolejna uliczna latarnia wydobyla na chwilę z ciemnego wnętrza mini-busa demoniczny wzrok młodszego Koseckiego.

-Jak długo jeszcze? - Mężczyzna ze zmiażdżoną dłonią czuł coraz większe zakłopotanie. Nie chciał ponownie spotkać tego upiornego spojrzenia człowieka, który siedział naprzeciw, więc skorzystał z pierwszej okazji, kiedy młoda doktor odstępowała nieprzytomnego pacjenta.

-Nie wiem gdzie teraz jesteście. Jeszcze nie znam dobrze tej trasy, ale myślę, że to już niedługo. Jak się pan czuje?

-Ta ręka okropnie boli. Nie mógłbym coś jeszcze na nią dostać?

-W szpitalu zdecydują.

-Jednak boli, jak cholera. Może jak wstanę i zrobię kilka kroków, będzie lepiej...

-NIE! Niech pan nie wstaje. Jeszcze pan nastąpi na tego biedaka. - Zdecydowanym ruchem dłoni powstrzymała go przed postawieniem nóg na podłodze. I wtedy usłyszeli ten jęk. Początkowo słaby, niewyraźny, zagłuszany przez monotony ryk silnika, niemożliwy do zlokalizowania, potem coraz głośniejszy. Karolina Zajac od razu popatrzyła w dół. Miała rację. Jej najbardziej uszkodzony pacjent odzyskiwał przytomność. Natychmiast przykłęknęła przy nim. Oprócz jednej jego ręki, która coraz śmielej błędziła w półmroku, leżał nieruchomo. Rzuciła szybkie spojrzenie na duży, cyfrowy zegar zawieszony nad stanowiskiem kierowcy. 20:41. Dopiero jechali dziesięć minut.

-Gdzie jestem? - drżącym głosem zapytał.

-Spokojne. Tylko się nie ruszaj. - Chociaż bardzo starała się, żeby być opanowaną, nie mogła powstrzymać hysterii, która zaczynała ją paraliżować. Nie rozumiała skąd tak nagle zmiana samopoczucia. To nie był lęk, który można odczuwać wtedy, gdy stawką jest życie pacjenta i cała kariera. To był strach pierwotny, doznawany raczej instynktownie. Coraz bardziej niepokoiły ją dziwne dreszcze, które błyskawicznie rozplywały się po jej całym ciele. Nie było zimno, chociaż zaczynała się dopiero prawdziwa wiosna. Dobrze pamiętała, że ze względu na rannych poprosiła kierowcę, aby włączył ogrzewanie zanim jeszcze dojechali do miejsca wypadku. Więc drgania mięśni wywołane były na pewno czymś innym niż zbyt niską temperaturą. Miała za młody i za zdrowy organizm, żeby cierpieć na niedocukrzenie. Coraz mniej racjonalne myśli mącił absurdalny lęk. Słyszała szybki i poszarpany rytm serca, kiedy kolejne porcje krwi tętnicznej waliły w jej bębrenki uszne. Kolejna, niedorzeczna myśl już zaczęła kiełkować w jej umyśle. „A może to zawał? Mój Boże, przecież i dziadek i ojciec umarli za młodu na serce”. Ciśnienie krwi rosło a wraz z nim jej stres. Niepokój napędzał jeszcze bardziej mięsień sercowy. Ten istny mechanizm samozniszczenia mógł za chwilę spowodować palpitacje serca. Stare fobie z dzieciństwa, okresu dorastania, czy też ciężkich lat studiów medycznych mieszały się z świeżo wyimaginowanymi lękami.

-Boże, nie teraz! - Młodzieniec leżący na podłodze dodge'a, między siedzeniami był już całkiem świadomy. Co gorsza, był przerażony zachowaniem kobiety, która siedziała tuż obok niego.

-Gdzie jest moja mama?

-Co? - Karolina Zajac zareagowała na jego pytanie tak, jakby dopiero teraz odkryła go leżącego na brudnej wykładzinie mini-busa.

-Jestem Kamil Bednarz. Byłem w autobusie z Agnieszką Bednarz – moją matką. Co się z nią stało? Dlaczego nas rozdzielono?

-Nie krzycz! - warknęła - Nic ci nie zrobiłam!

Młoda stażystka zaczynała coś bredzić. Jej oddech był tak szybki, jakby dopiero przed

chwilą ukończyła bieg na tysiąc metrów.

- To nie moja wina. Nie ja ich zabiłam.

- '...ich zabiłam?' - z trudem jęknął jej młody pacjent. - Czy ktoś tu zginął?

Chwilę później chłopak zwracał uwagę już nie tylko na jej słowa i zachowanie. Teraz jeszcze bardziej niepokojące sygnały dochodziły go zewsząd. Gniewne obelgi, wulgaryzmy, groźby czy też pierwsze odgłosy walki upewniły go w tym, że znowu dzieje się to, przed czym uciekał zarówno dziś, jak i przez prawie całe swoje życie.

- Hej, posłuchaj mnie! - Złapał ją za ramiona i potrząsnął tak lekko, jak tylko potrafił. Wiedział, że w każdej chwili zbyt zdecydowany ruch może obudzić w jej umyśle kolejnego, jeszcze gorszego demona. - Nie ma dużo czasu. Musisz dać mi jakiś środek uspokajający. Najlepsze dla was wszystkich będzie coś tak silnego, co pozwoli mi natychmiast odpłynąć. Dalej, rób co ci mówię! Każda sekunda się liczy.

Zaniepokojony całą sytuacją kierowca włączył światła wewnątrz pojazdu. Karolina Zając chwyciła torbę i odskoczyła od nastolatka. Chociaż patrzyła na niego, był pewny, że jej przerażone oczy widzą w nim kogoś innego. Kiedy wyciągnął do niej rękę, odsunęła się o kolejny krok. Teraz zestaw pierwszej pomocy kurczowo trzymała przy piersi, jakby w każdej chwili spodziewała się ataku. Jakiś mężczyzna, gdzieś bardzo blisko niego (głos dochodził z najbliższego siedzenia) głośno płakał. Cały czas powtarzał tylko dwa słowa. Kamil Bednarz chciał podnieść się z podłogi. W miejscu gdzie leżał nie mógł widzieć nikogo oprócz roztrzęsionej kobiety w fartuchu lekarskim. Szybko musiał odpuścić. Kiedy tylko zaczął wstawać, okropne zawroty głowy natychmiast ponownie go uziemiły.

- Zabiłeś go! Zabiłeś go! Zabiłeś go!!! - Facet świrujący najprawdopodobniej na fotelu, u podnóża którego on ugrzązł, zaczynał się rozkręcać. To nie był już płacz, raczej wściekłe okrzyki kogoś, kto był gotów zabić. Nagle poczuł ból w prawym goleniu. Ktoś stanął na jego nodze. To musiała być osoba, do której te gniewne okrzyki były kierowane. Siedziała do tej pory po drugiej stronie dodge'a. Teraz uznała, że czas najwyższy zejść z fotela i uciekać z tego miejsca.

- Ty skurwysynu! Gdzie?! - Z perspektywy kogoś leżącego na podłodze w wąskim przejściu mini-busa, to wyglądało jak zwinnie skok drapieżnego kota na swoją ofiarę. Mężczyzna, który przed chwilą nadepnął na niego, pod naporem spadającego na niego ciała napastnika upadł z powrotem na fotele, na których przed chwilą siedział,

- Przez ciebie mój brat nie żyje. Ty skurwysynu, przez ciebie! - Bełkotliwe, gardłowe, gulgoczące dźwięki, które były jedyną odpowiedzią atakowanego, wskazywały, że za chwilę zostanie uduszony. Kamil odwrócił teraz głowę do tyłu. Za nim, mniej więcej dwa rzędy siedzeń do przodu jakaś kobieta, grubo po pięćdziesiątce, rozdrapywała ranę na własnym ramieniu. Czym bardziej ją bolało, tym zajadlej rozszarpywała palcami krwawiące ciało. Nie było już czasu do stracenia. Jeszcze chwila i wszyscy w jego najbliższym otoczeniu do końca stracą nad sobą panowanie. Nie mógł dopuścić do tego, żeby ludzie zaczęli zabijać się z jego powodu. Nie znowu. Nie ci, których jedyną winą było tylko to, że znaleźli się w tym samym miejscu, co on. Zebrał w sobie całą siłę, żeby powstać. Mocno chwycił metalowy filar, łączący siedzenie z górnym lukiem bagażowym. Już z wielkim trudem zaczynał się podnosić, kiedy nagle mini-bus zaczął gwałtownie hamować. Na szczęście, uderzenie nie było zbyt mocne. Kierowcy udało się zwolnić na tyle, żeby zderzenie nie miało śmiertelnych skutków. Kamil Bednarz zastanawiał się, czy to coś, co wywoływało ten obłęd, czy raczej któryś z owładniętych szałem pasażerów dopadł już tego nieszczęśnika. Dzięki temu, że chłopak w momencie kolizji mocno trzymał się metalowego drążka, jako jeden z nielicznych nie poleciał do przodu. Jedynie osunął się kilkadziesiąt centymetrów w dół, uderzając kolanami w podłogę. Nagle poczuł, że ktoś jest teraz za jego plecami. Natychmiast się obrócił z zaciśniętymi w pięści rękoma. Spodziewał się wszystkiego. Na szczęście to była ta młoda kobieta w białym fartuchu. Nic nie mówiła, tylko obserwowała każdy jego ruch. Duże łzy spływały po przerażonej twarzy. Był pewien, że w tej chwili wydaje jej się, że stoi przed kimś innym, przed osobą, o której wspomnienia pewnie od dłuższego czasu próbowała zgubić gdzieś w najciemniejszych zakamarkach swojej podświadomości. Teraz to widmo pojawiło się w jej wyobraźni. Może był to wredny, mszczący się za nieodwzajemnione uczucia ex-chłopak z liceum,

może sadystyczny ojciec albo też dręczący ją lubieżnymi propozycjami ordynator oddziału, gdzie miała pierwsze praktyki. Ludzie, którzy znaleźli się zbyt blisko niego, tak jak ta młoda pani doktor, znowu wpadali w szal i znowu działo się tak z jego powodu.

-Proszę, daj mi coś silnego na uspokojenie a obiecuję, że za chwilę nie będziesz się czuła tak parszywie.

Cofnęła się o jeden krok. Chociaż uśmiechała się, w jej oczach widział coraz większy obłęd. Ostrożnie schyliła się do torby. Wyjmując coś z niej, cały czas go obserwowała. Wkrótce mógł zobaczyć co to jest. Mała strzykawka. Kiedy podniosła ją na wysokość swojej talii, krótki odbłask światła zdradził obecność igły. Trzymała to tak, jakby groziła mu nożem. W oddali mógł usłyszeć ledwo co uchwytnie dla ucha syreny. Z każdą chwilą coraz śmiejiej przebijały się przez szalone okrzyki, jęki i łkania pasażerów mini-busa. Miał zbyt mało czasu, żeby wygrzebać się z tego pojazdu. „Kolejni ludzie: ratownicy, założę się, że też policjanci, wkrótce tu będą. Zrobi się jeszcze większy kocioł. Wszystkich ich to dopadnie. Wystarczy, że podejda zbyt blisko. Boże! Co, jeśli gliniarze mają pistolety?”

-Proszę, posłuchaj mnie. - Zwrócił się do kobiety w białym fartuchu, tak spokojnie, jak tylko mógł. - Mam nadzieję, że za chwilę będziesz choć trochę pamiętać z tego, co teraz powiem. Jest to ważne tak samo dla mnie, jak i wszystkich innych, którzy będą się mną zajmować. - Pomimo tego, że wyglądała na coraz bardziej niepo czytelną, kontynuował. - Odnajdźcie moją matkę. Była ze mną w autobusie. Nazywa się Agnieszka Bednarz. Kładę na podłogę moją legitymację. Może się przydać. Moja mama będzie wiedzieć co robić. Nawet jeśli jest ranna, musicie ją sprowadzić.

Miał już bardzo niewiele czasu. Ponownie zebrał w sobie wszystkie siły, żeby powstać. W zaparowanych, tudzież okrwawionych oknach dodge'a zobaczył pierwszą sylwetkę szybko zbliżającą się do ich pojazdu. Pośpiesznie rozejrzał się dookoła. Przez chwilę szukał tego samego metalowego filaru, którego się trzymał podczas kolizji. Niemal natychmiast namierzył metalową konstrukcję. Obydwie dłonie mocno zacisnęły się na niej mniej, więcej na wysokości jego klatki piersiowej. Zdecydowanym ruchem głowy napał z całej siły na chłodny, stalowy pręt. Trudno powiedzieć czy słyszał jeszcze tępy łomot pękającej kości czołowej. Wir zapomnienia coraz gwałtowniej go wciągał. Z obwicie krwawiącą głową obsunął się na to samo miejsce, gdzie kilka minut wcześniej już leżał. Znowu był nieprzytomny.

6

Jeszcze przez chwilę nie wiedziała gdzie jest. Zmysł powonienia był tym, który pierwszy ponownie zaczął odbierać realne bodźce z otoczenia. W jej nozdrzach mieszające się ze sobą zapachy potu, środków antyseptycznych i krwi nagle odblokowały pamięć. Już wiedziała, że jest w tym obskurnym mini-busie w grupą lekko rannych ofiar wypadku. Tylko, że teraz metaliczny fetor krwi był o wiele bardziej intensywny, niż wtedy... „Jakie wtedy?” Nie potrafiła sobie wyjaśnić dlaczego straciła poczucie czasu. „Przecież dopiero co to się zdarzyło. Schylałam się nad tym biedakiem. Coraz głośnie jęczał z bólu. Zaczynał odczuwać obrażenia, jakich doznał. Teraz stoję gdzie indziej ze strzykawką w ręku a ten chłopak leży na boku z krwawiącą głową. Co tu się stało?” Jej przytomniejący umysł odkrywał coraz więcej dramatycznych zmian, jakie musiały zajść, podczas tego zamroczenia. Dopiero teraz zwróciła uwagę na to, że stoją gdzieś w szczerym polu. Miejsce kierowcy było opuszczone. Rześkie, mroźne powietrze wdierało się do wnętrza dodge'a przez na oścież otwarte drzwi z przodu. Karolina Zając rozejrzała się po całym mini-busie. Kilka osób, podobnie jak i ona wyglądało na oszołomionych. Rozglądali się na wszystkie strony, jakby również nie mogli sobie przypomnieć kilku ostatnich minut. Jej wzrok zatrzymał się na mężczyźnie, który w wypadku doznał potwornego, otwartego złamania nogi. Był on teraz po przeciwnej stronie. Przygniatał swoim ciałem do siedzenia innego pacjenta. Widać było, że nie rozumie dlaczego jego dłonie nadal zaciskają się na szyi tego człowieka. Nagle zrobiło się jej niedobrze. Ten drugi był martwy. Wytrzeszczone, martwe oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości. W tej chwili dotarło to też do mężczyzny ze złamanym goleniem. Natychmiast, tyleż samo z przerażeniem co obrzydzeniem, cofnął swoje ręce.

Ponownie spojrzała na nieprzytomnego chłopaka. Jej serce biło coraz wolniej. Nie oddychała już tak płytko i nierytmicznie, jak jeszcze kilkanaście sekund temu. W obydwu dłoniach nie trzymała już tak kurczowo strzykawki z igłą. Nadal pamiętała, że jeszcze nie tak dawno temu okropnie się bała, chociaż nie była w stanie sobie przypomnieć przyczyny tego paralizującego strachu. Przyklęknęła. Chciała sprawdzić, dlaczego tak dużo krwi było w miejscu, gdzie leżała jego głowa. Naraz dostrzegła mały, prostokątny przedmiot wystający spod jego ramienia. Podniosła go do światła. To była szkolna legitymacja. Chociaż nigdy wcześniej jej nie widziała, była przekonana, że już o niej słyszała. Przyjrzała się zdjęciu. To na pewno był ten sam chłopak. Pod spodem widniały jego imię i nazwisko. Kamil Taurus. Jeszcze raz przeczytała ostatni wyraz. Bednarz. Gdzieś w zakamarkach wciąż przytępionego umysłu to nazwisko nadal pobrzmiwało. Szybko przeniosła jeszcze raz swoje spojrzenie na strzykawkę. „Proszę, daj mi coś silnego na uspokojenie a obiecuję, że za chwilę nie będziesz się czuła tak parszywie”. Pamiętała ten zrozpaczony głos. „Tak. To musiał być ten młody mężczyzna. Odzyskał przytomność i wtedy wszystko w tym przeklętym mini-busie zaczęło się psuć. Mówił, że to przez niego. Ostrzegął, że będzie coraz gorzej, dopóki będzie przytomny. Mówił coś o matce. No tak! Bednarz. Miałam znaleźć kobietę o tym samym nazwisku”.

Nagle od przedniej strony dodge'a spacevana dały się słyszeć niepokojące hałasy. Znowu jakaś kobieta wrzeszczała. Karolina Zając wiedziała, że to nie był jednak głos kogoś, kto właśnie co odkrył, że osoba siedząca obok nie żyje. To był lament zwiastujący następne, nawet groźniejsze niebezpieczeństwo. Młoda stażystka nie myliła się. Przez otwarte przednie drzwi dwóch silnie zbudowanych mężczyzn wdarło się do środka. Obydwaj mieli liczne opatrunki. Niektóre z nich całkowicie przesiąknięte krwią. Musieli też być ofiarami tego wypadku, chociaż nie przypominała sobie, żeby byli przydzieleni do jej transportu. Najgorsze było to, że teraz każdy z nich trzymał w dłoni całkiem pokaźnych rozmiarów nóż.

-Gdzie jesteś, gnojku?! - Pierwszy z nich, łysol w przykrótkiej, skórzanej kurtce warknął.

-Nie myśl, że tak łatwo odpuścimy – wtórował drugi, jak na drugą połowę kwietnia, zbyt skąpo odziany, bo tylko w białą, teraz zakrwawioną podkoszulkę, osiłek. - Wiemy świrze, że tu się schowałeś.

-Nie wyjedziesz od nas, póki nie zapłacisz za to co zrobiłeś.

„To musi być ten chłopak. Na pewno chodzi im o niego”. - Zbyt późno pomyślała o tym, żeby czymś przykryć jego twarz. Obydwoje napastnicy od razu musieli go rozpoznać, gdyż bezpośrednio ruszyli w jego kierunku. Z resztą, nie uwierzyliby jej, że to zwłoki jakiegoś staruszka.

-Zostawcie go. - Chociaż bardzo chciała zabrzmieć przekonywująco, jej trwożliwy głos zdradził ją w już w pierwszej chwili. - Nie ruszajcie go. Jest w bardzo poważnym stanie. Idźcie sobie, chyba że chcecie mieć kłopoty. Zaraz będą tu inne karetki i radiowozy.

-Stul pysk! - Ryknął z furią mięśniak w przykrótkiej, skórzanej kurtce.

-Nie wiesz, głupia kozo, kogo próbujesz chronić.

Spojrzała na jednego, potem jeszcze uważniej przyglądnęła się drugiemu. Coś dziwnego było w ich wyglądzie. Nie chodziło tu o pełną agresji postawę. W końcu takie zbiry zawsze się tak zachowują w podobnych sytuacjach. Nie podobały jej się ich odruchy: gwałtowne, prawie niedostrzegalne drgnięcia ciała. Jeśliby tylko jeden z nich to miał, pomyślałaby, że to jakaś neurologiczna przypadłość. Jednak szanse, że obydwaj chorują na to samo (mogła przysiąc, że nie ma między nimi pokrewieństwa) były bardzo małe. Jeszcze bardziej niepokojące były ich spojrzenia: dzikie, drapieżne, jakby w amoku. Nawet ludzie po prochach tak nie wyglądają. Teraz tylko trzy rzędy siedzeń oddzielały ją od nich. Nogi miała już jak z waty. Nie miała żadnych wątpliwości. Przybyli tu by zabić. Zaczynała rozumieć, że znalazła się w niewłaściwym czasie i w niewłaściwym miejscu. „Nie zasłonili sobie twarzy. Czyli albo pozbędą się świadków morderstwa, albo są tak szaleni, że mają to gdzieś. Tak czy siak, mam przesrane”.

Jej ciało, jakby wbrew jej woli, zrobiło jeden krok do przodu, zasłaniając tym samym nieprzytomnego pacjenta przed ich bezpośrednim atakiem.

-Odsuń się głupia suko! - Osiłek w zakrwawionej podkoszulce nie czekał na jej reakcję.

Uniósł do góry rękę. Przez chwilę ostrze jego noża zawisło nad jej głową. Nawet nie zdążyła zasłonić się rękoma, kiedy to rozdzierający huk wystrzału rozległ się w mini-busie. Małe, ciepłe i wilgotne, ale przede wszystkim lepkie kawałeczki jego mózgu rozprysnęły się na wszystkie strony. Jeszcze nie zdołała przymknąć powiek, gdy drugi, identyczny huk ponownie wszystkich ogłuszył. Kolejny krwawy prysznic zrosił jej twarz. Kolejne martwe ciało wydało głuchy odgłos bezwładnie opadając na brudną wykładzinę starego dodge'a. Kolejne wrzaski przerażonych pasażerów wróżyły dalsze kłopoty. Kiedy otarła powieki, mogła spojrzeć w kierunku ich wybawcy. Stał nieruchomo przy samych drzwiach. Niewyraźna sylwetka wtapiała się w ciemne wnętrze mini-busa. Dziwne – jeszcze kilka sekund temu wszystkie światła były tam włączone.

-Dobrze, że zdążyliście – wyjąkała. Wiedziała, że teraz nie powinna tak beczynnie stać, ale jej organizm na chwilę odmówił posłuszeństwa. Z resztą, nie tylko jej. Inni pasażerowie dodge'a również stanęli jak wryci. Wszystkie te rzeczy, które wydarzyły się w tak krótkim czasie mogły każdego zamrozić. Na dodatek dwa strzały oddane w tak ciasnym pomieszczeniu na pewno niejednego ogłuszyły. Przez te kilka sekund, które trwały dla niej jak długie minuty, nikt się nie poruszył. Nawet osoba na przodzie mini-busa z nadal uniesionym pistoletem zastygła jak posąg.

-Gdzie są inni? - Karolina w końcu mogła mówić. Dopiero teraz zaczynała dostrzegać dziwne okoliczności tego zdarzenia. Nie rozumiała skąd tak naprawdę ten ktoś się tu pojawił. Wokół mini-busa nadal panowała ciemność. Chociaż ryk syren potężniał z każdą chwilą, wciąż nie widziała żadnej karetki czy też radiowozu.

-Kim jesteś? - Czuła, że jej serce znowu bije coraz szybciej. Już po raz kolejny w tak krótkim czasie strach zaczynał ją paraliżować. Spojrzała pod nogi. Tak, jak myślała. Tym razem to nie ten pokiereszowany w wypadku nastolatek był przyczyną jej lęków. Nie wyglądał na takiego, który w najbliższych godzinach odzyska przytomność. Patrząc w dół, nie mogła się powstrzymać od rzucenia choćby jednego, krótkiego spojrzenia na bezgłowe ciało mięśniaka, ubranego w krótkawą, teraz już całkowicie zakrwawioną podkoszulkę. Wciąż pamiętała jego upiorny wyraz twarzy. „Cholera! Te światła z przodu mini-busa nie mogły wszystkie naraz przestać działać o tak sobie! Czy ktoś, kto nie ma złych intencji, skrywałby swoją twarz w ciemności? Niech to szlag! A co, jeśli ten gościu jest taki sam, jak ci dwaj, tutaj?”

-Słysząc, że już kawaleria nadjeżdża. Zaraz zjawi się policja. - Od razu pożałowała tego, że to powiedziała. Brzmiało to tak, jakby wystraszone dziecko, pozostawione same w domu, desperacko próbowało odstraszyć intruza sprzed drzwi banalnym 'Zaraz przyjdzie tu tata.' Zdała sobie sprawę z tego, że w tej chwili jest chyba najlepiej oświetloną osobą w całym busie. „Cholera, dlaczego moja twarz zawsze zdradza to, co czuję?”. Odwróciła głowę w drugą stronę. I wtedy pierwszy raz od wielu minut coś w końcu poszło po jej myśli. W tylnej szybie dodge'a dostrzegła pierwsze niebiesko-czerwone odbłaski. Odetchnęła z ulgą. Z każdą kolejną chwilą były większe i liczniejsze. Szybko zwróciła swój wzrok w kierunku nieznanego. Miejsce obok kabiny kierowcy było już puste. Jak widmo, ten ktoś zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że nadal trzyma w dłoni laminowaną szkolną legitymację. Jeszcze raz przeczytała imię i nazwisko. Kamil Bednarz. Powiodła oczyma po innych pasażerach. Na szczęście teraz nikogo nie obchodził ten chłopak. Nikt, oprócz niej, nie kojarzył go z tymi wszystkimi dziwnymi zdarzeniami. Tyle samo z nadzieją, jak i z trwogą patrzyli na zbliżających się ratowników i policjantów. Przerażał ich widok zmasakrowanych trupów siedzących tak blisko nich. Duszący odór krwi wywoływał u nich coraz większe mdłości. Jednak w tej chwili najgorsza była niepamięć. Każdego dręczyła teraz tylko jedna obawa: „Czy ja mam coś wspólnego z tym, co tu się stało?”

7

-Niech nikt się nie rusza! Wszyscy zostają tam, gdzie teraz są! - Mężczyzna przewodzący kilkusobowej grupie groźnie wyglądających osób w maskach filtracyjnych i niebieskich kombinezonach ochrony biologicznej dziarsko wymachiwał na wszystkie strony karabinem maszynowym, gdy przechodził obok kolejnych pasażerów dodge'a spacevana.

-Nikt nawet nie drgnie! Jeśli wam życie miłe... Będziemy strzelać bez ostrzeżenia.

Zatrzymali się metr przed zastrzelonymi dosłownie kilkadziesiąt sekund wcześniej dwoma napastnikami. Silne białe światła z ich masywnych latarek krążyły po skąpanych we krwi suficie, siedzeniach, ale przede wszystkim ciałach przerażonych pasażerów.

-To ich krew? - Ten sam mężczyzna wskazał lufą na parę zwłok leżących w przejściu. Zniekształcony przez maskę głos jeszcze bardziej potęgował strach.

-Tak. Ktoś od was był tu dosłownie przed momentem. Na szczęście zdążył. Odstrzelił im łby w ostatniej chwili. - Karolina Zając bacznie obserwowała ich reakcję na jej słowa. Wymienili między sobą krótkie spojrzenia. Tak jak podejrzewała, jej wybawca nie należał do ich zespołu.

-Pani jest lekarzem – nie do końca wiedziała czy to było pytanie, czy raczej stwierdzenie.

-Tak. Miałam ich zabrać do szpitala w Gorlicach.

-Jest pani ranna?

-Nie. To tylko krew tych dwóch.

-Co z nim? - Druga w szeregu, w tak samo posępnym ubiorze, osoba wycelowała swój karabin w kierunku nieprzytomnego nastolatka.

-A ten na podłodze. - Robiła wszystko, co mogła, żeby głos jej nie zdrzął w tej chwili. - To mój najcięższy przypadek. Nie odzyskał przytomności od samego początku.

-Czyżby? - Mężczyzna, który przed chwilą przyłączył się do rozmowy, wymownie rozejrzał się dookoła. - Czym bliżej niego, tym więcej trupów.

-Nie wiem do czego zmierzacie. Chyba nie przybyliście tutaj, żeby nas przesłuchiwać...

-Czy mówił kim jest? - Przerwał jej w pół słowa. Pomimo zniekształceń spowodowanych mówieniem przez maskę, łatwo zidentyfikowała w jego głosie narastającą irytację. - Czy się przedstawił zanim... - mężczyzna w kombinezonie dokładniej przyglądał się ranie na czole nieprzytomnego młodzieńca – zanim uderzyła go pani czymś ciężkim w głowę?

Potrzebowała chwili, żeby pozbierać myśli. Chociaż ci ludzie w maskach naprawdę wyglądali groźnie, niczego takiego złego teraz nie robili. Pewnie na ich miejscu podobnie by się zachowywała. „To na pewno szok. Wszystkie te rzeczy, które tu się wydarzyły... Mój umysł nie może tego wszystkiego przyswoić.” Nagle zdała sobie sprawę z tego, że tak naprawdę, oni nie są dla niej problemem, tylko jego rozwiązaniem. Jeszcze kilka minut temu, zupełnie oszołomiona, zachodziła w głowę, jak pomóc temu nieszczęśnikowi na podłodze. Nie była pewna, czy zdoła ustrzec tych, co będą przy nim, gdy zacznie odzyskiwać przytomność. Teraz nie musiała się tym już martwić. Na szczęście byli inni, którzy wiedzieli, może nawet i o wiele więcej niż ona, o tym dziwnym przypadku. W tej chwili byłaby w stanie zgodzić się na pełną współpracę z nimi, gdyby jednak nie to, że jej podświadomość nieustannie wysyłała jej alarmujące sygnały. „Bądź czujna! Coś tu nie gra. Nie daj się zwieść pozorom. Nie pojawił się z nimi żaden policjant, strażak czy też ratownik. No i te cholerne maski. Nie jest dobrze. Albo obawiają się jakiejś zarazy, albo nie chcą, żeby ich rozpoznano. Niech to szlag! Z moim pechem pewnie i to i to.” Spojrzała w kierunku przedniego wyjścia, którędy właśnie wyprowadzano jedną z ocalałych pasażerek. W świetle ich reflektorów dobrze widziała jej młodą, atrakcyjną twarz. Dziewczyna rozglądała się na wszystkie strony, jakby czegoś szukała. Może, tak jak i Karolinę Zając, niepokoił ją brak karettek czy też radiowozów. Jej zapłakane oczy przez chwilę zatrzymały się na niej. Młoda pani doktor nie pamiętała tej kobiety. Musiała siedzieć gdzieś na samym przodzie. Z pacjentami w tej części spacevana prawie w ogóle nie miała kontaktu. Nagle zobaczyła coś, co ponownie tego wieczoru zmroziło krew w jej żyłach. Długa, przez moment lśniąca w świetle latarki, lufa karabinu była wycelowana w plecy dziewczyny. Człowiek, który do niej celował, nie wyglądał na bardzo opanowanego. Mocno gestykulował, jakby jej groził.

-Co się dzieje?! Gdzie zabieracie tę kobietę? Dlaczego on ją tak prowadzi? Po co mu ta broń?

Nikt jej nie odpowiedział. Ludzie w maskach zdążyli już obstawić cały mini-bus. Kolejne osoby były wyprowadzane obydwoma wyjściami dodge'a. Jeden z pasażerów postanowił stawić opór. Zamachnął się na jednego z uzbrojonych. Aby dodać sobie odwagi, albo też pozwolić ujść furii, spowodowanej całą tą sytuacją, zaczął rzucać najbardziej siarczystymi przekleństwami.

Chwilę później już milczał. Sprawnym ruchem jeden z najbliższych stojących zamaskowanych uderzył masywną kolbą karabinu w skroń krnąbrnego pasażera. Natychmiast jego krępe ciało bezwładnie upadło na podłogę.

-Kim jesteście? - Karolina Zając zaczynała panikować. Traciła kontrolę nad sobą, chociaż wiedziała, że to jest ostatnia rzecz, jaką teraz może zrobić.

-Kto was tu przysłał? Gdzie pogotowie? Dlaczego jeszcze nie...

-Czy ten chłopak mówił jak się nazywa? - Ta sama osoba co przed chwilą, w podobnie bezceremonialny sposób przerwała jej. Cały czas swoją uwagę zdawała się skupiać tylko na nieprzytomnym młodzieńcu leżącym prawie pośrodku przejścia.

-Czy mówił skąd jest?

-Jak już wam powiedziałam, od samego początku nie odzyskał przytomności...

-Przestań kłamać!!! - Ostry, prawie piskliwy krzyk zdradził, że człowiek kryjący się za maską to kobieta. Dopiero teraz doktor Zając zwróciła uwagę na jej zdecydowanie węższe ramiona i drobniejszą budowę ciała w porównaniu z innymi postaciami w ponurych kombinezonach.

-Nie kłamie. Ten chłopak odniósł tak poważne obrażenia podczas wypadku, że prawie cudem jest to, że jeszcze żyje.

-Czemu go kryjesz? - Jej maska teraz prawie dotykała twarzy młodej stażystki. - Myślisz, że nie widzę świeżej rany na jego głowie?

-Rozejrzyjcie się dookoła! Czy tak trudno domyśleć się tego, że jeszcze kilka minut temu ludzie tutaj się... no, walczyli ze sobą. Ktoś musiał go przypadkowo kopnąć. Stąd ta rana. W końcu, cały czas ten biedak leży w samym przejściu.

-Znowu kłamiesz. Tylko po co? Przecież nawet nie znasz tego chłystka. Gdybyś wiedziała, co ten gnojek może zrobić... - Kobieta w niebieskim kombinezonie jeszcze raz rozejrzała się dookoła. - To, co ci ludzie wyrabiali tu kilka minut temu, jest chyba najlepszym dowodem na to, o czym mówię. Prawie was wszystkich zabił, ale ty chcesz go kryć. Ciekawe, dlaczego?

-Wszyscy cofnąć się!!! Kod pięć! - Nagle jeden ze stojących za plecami zamaskowanej kobiety mężczyzn wydał krótką, ale za to bardzo stanowczą komendę. Wszystkie postacie w kombinezonach od razu odstąpiły na krok od pasażera, do którego mierzyła karabinem ta sama osoba, co chwilę wcześniej wydała ten złowieszco brzmiący rozkaz. Chociaż Karolina Zając została dość brutalnie odepchnięta na około dwa metry w stronę przedniego wyjścia, wciąż dobrze widziała, że chodzi im o mężczyznę z otwartym złamaniem kości goleniowej. Bardzo dokładnie przyglądali się to jego ranie, to jego oczom.

-Możliwe bezpośrednie zakażenie krwią od pacjentów A2 i A3. - Lekkie zdenerwowanie można było wyczuć w głosie osoby składającej ten krótki meldunek.

-Sprawdźcie lepiej jego źrenice! - Władczy ton kobiety w kombinezonie nie pozostawiał już żadnych wątpliwości kto tu dowodzi.

-Robią się takie same jak u tych dwóch.

-Jesteś pewien?

-Na sto procent. - Zawyrokował jeden z jej ludzi, który ostrożnie przysunął dużą latarkę do twarzy rannego pasażera. Teraz już trzy karabiny były wycelowane w głowę (można teraz śmiało powiedzieć) jednego z byłych pacjentów Karoliny Zając.

-Tym razem bądźcie bardziej ostrożni.

W takiej sytuacji ich milczenie było najlepszym potwierdzeniem tego, że zrozumieli rozkaz swojej przełożonej.

-Ewakuować pozostałych, jeśli tego nie mają! Ale najpierw, wynieście naszego śpiącego królewicza. Wszystkich innych przejmują Zespół C. Niech ich przygotowują do przesłuchań.

Karolina Zając chciała zaprotestować przeciw takiemu traktowaniu. Zamierzała naskoczyć na kobietę w masce, kiedy ta za chwilę będzie przechodzić obok niej. Ta musiała chyba odczytać jej intencje, gdyż w pewnym momencie zdecydowanym ruchem ręki dała sygnał jednemu ze swoich podwładnych, który stał tuż obok młodej stażystki, żeby natychmiast ją wyprowadził. Pomimo oporu, jaki ona, jak i kilku innych pasażerów, cały czas stawiała, po niecałych dwóch minutach młoda stażystka została wywleczona ze starego dodge'a. Od samego początku skazane na

porażkę mocowanie się z drabem, prawie dwa razy większym od niej, niemal całkowicie odebrało jej siły. Dopiero haust świeżego, mroźnego powietrza na zewnątrz przywrócił jej wigor. Już chciała odwrócić się i ponownie zaatakować swojego ciemieżcę, kiedy nagle metaliczny terkot strzelających długimi seriami pistoletów maszynowych całkowicie ją sparaliżował. Jeszcze przez chwilę miała nadzieję, że te odgłosy nie pochodzą ze środka leciwego mini-busa. Moment później nie miała już żadnych wątpliwości. Przerażona patrzyła, jak, wydawać by się mogło niekończące się skrzynie wypluwających kilkanaście pocisków na sekundę Uzi, rozświetlało środkową część dodge'a spacevana. Pamiętała, że właśnie w tym miejscu ostatni raz widziała młodego mężczyznę z otwartym złamaniem golenia.